

# BALAMUTA.

## WIZYTY WIEJSKIE. \*)

Wróciwszy z Wyborów osiadłem znowu na kilka miesięcy w domu, i znowu skończyłem na uprzykrzeniu sobie ciąglej samotności. Umyśliłem więc ruszyć po wizytach wiejskich. Zacząłem od Pani Podstoliny. — Godna ta babuła jest babką 25letnich wnuczków. — Mimo tego zawsze czérstwa, zawsze żwawa, nosi na sobie uosobione zdrowie podolskiego wiejskiego powietrza. Czerwona jak piwonia, i gdyby nie rabizna którą niemiłosierny czas tak na twarzach ludzkich jak i na piwoniach o adza, wydawałaby się zdala świeżą jak 18letnia wiejska dziewczica Podola. — Humor to, zawsze wesół, utrzymuje tę czérstwość i to zdrowie; — a humor ten tak wesół utrzymuje serce, zawsze próżne: — bo pani Podstolina, wyższa nad małe życia wypadki, nie dba o śmierć męża, córki; nie dba o nieścęćcia syna, którego zawód zamknęła nie dając mu nie majątku. Widzi ona w tych wszystkich wypadkach naturalny bieg rzeczy, któremu płacze ani umartwienia nie przeskodzą. — Jednakże, mimo tak niezachwianej spokojności humoru, miewa czasami napady słabości krajowej, która przeszkadza trawie-

niu; — ale i na ten wypadek filozoficzna nasza Podstolina obmyśliła naturalne lekarstwo, któreby, zło istniejące wypędzając, zła nowego w ciało nie wdrażało, jak zwykła robić sędziwa nasza allopatya. — Tém filozoficzném lekarstwem Podstoliny jest sen, tak głęboki, tak czysty i niezachwiany, jaki zwykły tylko spływać na powieki dziecięcia noworodzonego, lub na powieki, zbyt długo otwarte wysokim cierpieniem cielesnym. — Ten sen, filozoficzna dusza Podstoliny, umie zsuwać na swą panią za pomocą owej niezachwianej spokojności, o której już napomknęliśmy. Sen ten, naksztalt letargu, trwa kilkadziesiąt godzin; poczem wstaje znowu rzeska i żwawa nasza Podstolina, s tak wesołym humorem, s takim życiem we wszystkich częściach ciała, jakie miała roku Pańskiego 1774, kiedy nieboszczyk mąż jej pierwszy raz zajechał do jej rodziców na odgłos wdzięków panny Skarbniczanki, i pierwszą *oeilladę* ognistą rzucił na nią.

W tak zdrowym stanie duszy i ciała dotrwała pani Podstolina do 76go roku życia, i, jak era, zapewne żyć jeszcze będzie długi ciąg czasu, zawsze supremacją w familii zachowując, zawsze swoją 50letnią córkę, wraz s sześciorgiem dorosłych jej dzieci, trzymając pod biczem nieugiętym prawa macierzyńskiego; zawsze rościągając nieograniczoną władzę nad wszystkimi chwilami milej wnuczki swojej z drugiej córki.

Wszedłem do pokoju bawialnego, mającego dwie sofy, raczej dwa tapczany, i sześć krzesel gruszowych, pokrytych płótnem niebiesko-czerwono-zielono-żółtém, w kwiaty i drzewa, jakiemi zwykły od czasu do czasu zasilać kraj nasz fabryki wielkorossyjskich naszych pobratymców. Przed jednym tapczanem stał stół, robiony s kawałków korzenia orzechowego; przed jedną ścianą stała takąż komoda; koło drugiej ściany klawikord, a raczej *kłapikord*, jakich nam dostarcza w obfitości, znajomy na całe trzy prowincye, Johnson Berdyczowski.

Wybiegła do mnie naprzód siostra młodsza gospodyni domu, równie ożywiona chociaż bledsza na twarzy. Po wzajemném przywitaniu się i po rozmowie *dészczowej i pogodowej*

\*) Nieznajomy autor niniejszego artykułu, ten sam któremu winniśmy piękny list o «Jarmarkach Berdyczowskich, Kontraktach Kijowskich i Wyborach» umieszczony w 20 i 21 NN. tegoroczn. Balamuta, przesłał go Redakcyi przy liście, w którym użala się na niektóre poprawy stylu. Redakcyja Balamuta, uznając sprawiedliwość większej części jego uwag, widzi się przymuszona uwiadomić go, iż większa część mniemanych popraw była skutkiem konieczności wykładania w swój sposób tego, czego w liście szanownego korespondenta, s powodu niewyrażonego pisma, żadną miarą wyczytać nie było można, lub też skutkiem prostych omyłek druku. Między innemi, Redakcyja poczytuje sobie za obowiązek sprostować następującą. Na str. 79, sl 2., gdzie Jarmarkowicz rozszerza się nad zaletami swego konia, *zamiast*: «zadem idzie choć ustał; toczy ogón jak fortuna» *należy czytać*: zadem idzie choć antał tocz; toczy ogón jak fontanna.» — Wyrażając powtórnie szanownemu nieznanemu wdzięczność swoją, za ładne jego artykuły, razem z życzeniem bliższej z nim znajomości, Redakcyja ma nadto zaszczyt uwiadomić go, iż dawniej jeszcze przezeń nadesłany artykuł: p. t. *Legitymująca się Szlachta*, podobnież w jednym z następujących NN. Balamuta umieszczony będzie. — Daj nam Boże więcej tak dowcipnych i czynnych korespondentów!

(na którą od wieków eleganci nastają, a która niemniej przeto od wieków dźwży jędrnie swoje przemocne berło, tak w Cześnikowskich, jak w Hrabioskich i Xiążęcych salonach), pani Pierściónkowska tak dalej gawędkę toczyła: — «Pan Dodrodziej podobno w Gubernii Lityńskiej mieszka?» — «Tak jest, Mościa Dobrodziejko, w Powiecie Podolskim.» — «Alboż jest jaki powiat Podolski na świecie?» — «Jest, Mościa Dobrodziejko, właśnie w Gubernii Lityńskiej.» — «A to szczególna rzecz że nie w Gubernii Podolskiej!» — «W istocie, ten fenomen mocno mię zadziwia.» — «Co? co? Mości Dobrodziejku?» — Fenomen ten, mówię, mocno mię zadziwia» — «Ktoto jest ten fenomen, szanowny Mości Dobrodziejku? — «Jest to Jegomość który mieszka w powiecie Podolskim, Gubernii Lityńskiej.» — «I to miły jaki człowiek, panie?» — «Bardzo czcigodny mężczyzna; — jest to mój od serca przyjaciel.» — «A czybyśmy nie mogli kiedy, za wstawieniem się pana, zrobić jego znajomości?» — «Najchętniej, Mościa Dobrodziejko; i spodziewam się że będziesz Pani z niego kontenta, gdyż on jest w rodzaju pani.» — Wtém nadeszła pani Podstolina z dwóma wnuczkami swojemi. Interessująca nasza rozmowa została tym sposobem przerywana, a natomiast nastąpiły uowe ukłony, przywitania, nowe dęszczowe i pogodowe rozmowy, w środku których mogłem zauważyć że jedna z wnuczek pani Podstoliny nie oszpeciłaby ładniejszego salonu, i potrafiłaby prowadzić miłą rozmowę, w której jej przyćmione, błękitne oczy umiałyby wlać święty ogień w serce słuchającego.

Gadaliśmy s koleię o tēm i o owēm, o zbożu i bydłe, o ziemi i niebie, i o wielu rzeczach co między niebem a ziemią istnieją. Ale, nie chcąc rozgłaszać całej naszej rozmowy, wolę zamilczeć, a przejść do domu pani Sędziny, do której stamtąd wprost powędrowałem.

Pani Sędzina jest to osoba co doszła terminu Jubileuszowego. — O powiększeniu swego potomstwa myśleć niź nie może. Jakoż, ma apostolską jego liczbę, trzynaścioro — oprócz czternaściora które do lepszych dziedzin się udały. Pamięć ich jednak przesłana do potomności za pomocą ich portretów, na których wcielone są w rozmaitych posturach.

Pani Sędzina jest osobą uprzejmą, lukreciowej słodyczy, noszącą na sobie pamięć dawnych wdzięków, któremi tak potężnie rozkrzewiła się w przyszłości. Ciotka pani Sędziny, przy niej bawiąca, jest osobą poważne-

go wieku, noszącą srebrne okulary, nie rościągające swego panowania jak tylko nad nosem, ale za to trzymające w mocnej karności jedynego poddanego którego posiadają. Okulary te są starożytnym zabytkiem XIVgo wieku, w terażniejszym powszechnie zaniedbanym, a mającym swe wielkie zalety. Dla tego myśle iż zrobię dogodność Bałamutowi, który lubi czasem w złotą przeszłość zajrzeć, gdy mu ich formę przeszłą: ∞. Są one pełne prostoty družbartowej, jak łatwo zauważyć; ale niezmiernie dogodne w tēm, iż wpływają do utrzymania czysto nosa. Cała mechanika ich zawisła na giętkim i sprężystym druciku środkowym, któryby nos brał jak w klęszcze dwoma pobocznemi szkiełkami, do których jest przymocowanym, i przedstawiał go publiczności, jak turczynek przedstawia żar w szczypcach do fajki. Łatwo bowiem wpaść na jedyne niedogodność tych okularów, zależąca na tēm iż cokolwiek nazbyt mocno nos obeiskają i robią go czerwonym jak u indyka, mimo wydoskonalenia do jakiego doprowadził je wiek XVsty, obmotawszy ich oprawę od nosa sznureczkami. — W tych tedy okularach, wspaniała pleśnią starożytności pokrytych, siedziała na czarnej włosianej kanapie ciotka pani Sędziny i samaż pani Sędzina. — Ukłoniłem się im nisko, jako damom pełnym powagi; proszono mię siedzieć, siadłem; proszono mię o nowiny, gadałem nowiny.

Trzeba wiedzieć że babeczki nasze, mieszkające po wsiach, równie jak ich szanowni mężowie, mają nieprzewyciężony popęd do nowinek politycznych. Tak też i nasza ciotka, manią ogólną przejęta, zapytała mię co bym teraz z nowin politycznych posiadał. Odpowiedziałem że wyladowali teraz w Budzie arabowie biali, religii katolickiej, wysłani przez Papieża na pomoc paszy Egiptu, którzy grożą sultanowi nadwężeniem pokoju. Zaniteressowana tą ważną nowiną, pani Nosowska, uwalnia na ten raz nos swój od okularów, i, kładąc je na stół: — «zdoprawdy? Mości Dobrodziejku?! zawoła.» — «Tak jest w istocie, szanowna pani Dobrodziejko.» — «I bitny to uaród, te białe Arabcy?» — «Wielce waleczny, Mościa Dobrodziejko.» — «No proszę, jak to wiele może wpłynąć na los Europy.» — «Niezawodnie, Mościa Dobrodziejko.» — Wtém weszły córki pani Sędziny. Powstałem by je przywitać. Zacząłem ich dopytywać się jak się bawiły na ostatnim balu, i tym sposobem przerywałem rozmowę polityczną, której tak ważnych zasiłków nie mógłbym na prędce więcej dostarczyć.

Pani Nosowska, zrobiwszy kilka wykrzykników o propos białych arabów do swej synowicy, wkrótce o

nich zapomniała, a zajęła się staraniem około swe-  
go nosa, którego niemilosiernie zieloną tabaczką  
częstowała, obeiskając go potem swemi okularami;  
Skąd łatwo wnioskować że chustka od nosa w nie-  
małych musiała też być obrotach. — Jakoż, wyda-  
wała się jak mappa: tak była pocienionana różnemi  
żółtymi krajami, obficie na niej rozszaniemi.

Przychodzi mi tu w porę jedna fizyologiczna uwa-  
ga, która długo mój umysł męczyła, i s której mu-  
szę go nakoniec oswobodzić, zakommunikowawszy ją  
Bałamutowi. — Oto, w wielu nocach, które w życiu  
bezsennie strawiłem, nieraz myślałem nad tem, iż  
najmniej potrzebną częścią ciała ludzkiego jest nos.

Złożę na to wszystkie moje dowody, które w tych  
bezsennych nocach pozierałem, a Bałamut niech  
swoją powagą rozsądzi czy moje myśli w tej mie-  
rze są sprawiedliwe. Uwagi te oprawię w ramki fi-  
zyologicznego obrazu nosa.

Nos wznosi się nad twarzą człowieczą w kształcie  
przyłądka dobrej nadziei, i służy za dom pocztowy,  
do którego załatują wszystkie zmęczone muchy, ze  
swoją szczególną upartością, w skutek której, dzie-  
sięć razy spędzane, dziesięć w razy na jednymże  
punkcie osiadają. Ma tę szczególną własność iż, jak  
port morski, potrzebuje ciągłego oczyszczania, przy  
którym wcale nie miłe odgłosy wydaje. Jeśli zaś  
niema się o nim dostatecznej staranności, wcale nie-  
miły widok przedstawia, zwłaszcza jeśli często ta-  
baczką zasilany bywa. Przyjemność, jakiej doświad-  
czamy z zapachów które za jego pośrednictwem przy-  
mujemy, nie może walczyć s przykrością jaką się  
czuje gdy mu przyjdzie fantazyja przesyłać nam róż-  
ne smrody, w które szczególnie obfituje królestwo  
zwierzęce, nie wyjmując zeń człowieka, jako Króla  
przewodzącego, tak w tym jak i w innych oddzia-  
łach, nad resztą zwierząt. Nos, nadto, ulega, jak  
wiemy, niemiłemu zepsuciu za lada niewinnem sprze-  
ciwieniem się przepisom ostrożności medycznych,  
Jednym słowem, nos, podług mnie, powinienby być  
odjętym zwierzętom któreby miały doskonałskemi od  
człowieka zostać. Ale ponieważ postrzegamy w so-  
bie wiele wad organizacyi, którym zaradzić nie jes-  
teśmy w stanie, starajmy się przynajmniej ciągnąć  
z naszych nosów wszelkie korzyści jakie one przed-  
stawiać nam mogą, i dogadzać im, ile to w naszej  
mocy, by, sprzeciwiwszy się, nie ściągnąć na  
nie złych skutków o których wyżej napomknęliśmy.  
A tak, ponieważ nosy ludzkie zdają się być stwo-  
rzone do tabaczki, traktujmy je nią jak nayeści-  
ciej i jak najmocniejszą. — Zyskamy naprzód na  
tém, iż będziemy mieli kilka godzin codziennie,  
zwłaszcza w samotności wiejskiej, przemile spędzo-  
nych na otwieraniu i zamykaniu tabakierki, na płą-  
skaniu po niej indexem czyli palcem wskazującym,  
na wpychaniu w nosy nasze miłego owego proszku,  
i na wysuszaniu co chwila chustką strumieni rospu-  
szczowej w nosach naszych tabaczki, która w nosie,  
jak w alembiku, zamieniwszy się na plyn ciemno-  
bronzowy, wyrusza stamtąd co żywiej do gęby. —  
Powtóre, będziemy mieli ten pożytek z naszych no-  
sów, iż będąc ciągle zakatarzonemi, zwiększą swoją  
objętość, zaczerwienią swoją powierzchnię, i będą,  
za pomocą tego przeobrażenia, przedstawiały weso-  
ły widok obecnym. — Nakoniec, miłą muzyką, jaką  
wypróżnianie nosów sprawuje, będziemy mogli delek-  
tować nasze uszy i uszy obecnych, zwłaszcza gdy kwar-  
tet albo kwintet, dobrze dobrany, razem da się słyszeć

Do najwyższego stopnia tę nosową taktykę dopro-  
wadziła sędziwa nasza ciotka, pani Nosowska, i dla  
tego śmiem ją za wzór wszystkim nowym adeptom  
sekt *Nosiarzy* przedstawić.

Wszystkie te uwagi, mogące wiele wpłynąć do do-  
bra ogólnego, przysły mi tłumnie na myśl podczas  
gdy uszy moje były głaskane miłą harmonią nosa  
pani Nosowskiej, i dla tego co prędzej pożegnałem  
ją, równie jak wszystkie te damy, ażeby je za świe-  
żej pamięci zapisać w moim albumie.

Ruszyłem potem do Pani Prząkowskiej, wesołej  
damy, przeszło lat 40 mającej, i dźwigającej na so-  
bie ze 20 pudów sałhanu. — Jest to dama należą-  
ca do liczby pseudo-światowych, mówiąca kilka wy-  
razów po francusku, dziwnie poprzekręcanych, i u  
których nie zaniedbuje nigdy przedostatniej zgłoski  
przedłużyć, na wzór większej liczby szanownych na-  
szych spółziomków.

Opowiadała mi swój wojaż do Lwowa; opisywała  
teatr Lwowski; nie mogła wstrzymać się od serdecz-  
nego śmiechu na wzmiankę loż Lwowskich. — In-  
teressująca ta rozmowa zajęła, jak łatwo się dor-  
zumić, dwie godzin czasu, w ciągu których już by-  
łem tylko prostym słuchaczem, a po upłynieniu któ-  
rych nie zaniechałem przyłożyć mych ust do tłustej  
ręki Pani Prząkowskiej, co oznaczało pożegnanie.

Udałem się stamtąd do Państwa Kukielnickich,  
gdzie zastałem gospodarza zielonego, małego, pę-  
katego, stawiającego swe nogi o dwa łokcie jedna  
od drugiej, skrobiącego się niemilosiernie w głowę;  
i niemilosiernie potem obiadającego swe paznog-  
cie; i gospodynię s twarzą pełną wisien, i tak w  
swej okragłej postawie wyprężoną, iż bałem się każ-  
dej chwili by nie pękła.

Tu już prowadziliśmy górniesze rozmowy niż gdzie  
indziej, bo o astronomii! Pani Kukielnicka bała się  
niesłychanie by ją przysły kometa z mężem i fami-  
liją nie zalał. — «Proszę Pana Dobrodzieja, mówi-  
ła do mnie, pełna drzączki, — jaka to straszna ma być  
ta kometa! Ogonem ma palić a głową zalewać! Je-  
szczym się nie tak bała palenia, bo mamy dużo wo-  
dy w stawie; ale coż można poradzić jak nasz bied-  
ny domek wodą się zaleje! A właśnie słyszałam że  
nas tu będzie zalewała.» — «Prawda to jest, Mościa  
Dobrodziejko: ale odkryto teraz u Kannugatów, w  
mieście stołecznem Jaga, bardzo łatwy sposób do  
odwrócenia tego zalewu. Była tam jasnowidząca,  
która we śnie powiedziała iż trzeba zbierać jaknaj-  
więcej chrząszczów, karmić ich u siebie, a kiedy cią-  
głe deszcze naleją wody na łokieć na ziemię, wypu-  
ścić te wszystkie chrząszcze na powietrze. Będą one  
miały własność odpędzania chmur.» — «W istocie?  
Panie Dobrodzieju? — A to łaska Boska zesała  
nam tu pana! Widzisz, Jasiuleńku, nie trzeba nigdy  
narzekać na Opatrzność, która wie co robi. Krzy-  
czałeś tak na chrząszcze, które nam wszystkie wiśnie  
objadły; a tymczasem one nas uratują od śmierci!  
Niech Bóg panu stokrotnie ten sekret zapłaci. Na-  
tychmiast moją spiżarnię wyporządę i każę tam  
chrząszczów napuszczać. — A czémże ich żywić?  
Mości Dobrodzieju, bośmy jeszcze nigdy chrząszczów  
nie wychowywali?» — «Majkami, szanowna Pani  
Dobrodziejko.» — «O! stokrotnie wdzięcznam pa-  
nu! Każę zaraz chrząszcze i majki zbierać.» — Któż-  
to, Panie Dobr. taki sposób doskonały znalazł?  
Pewnie za to pójdzie do nieba.» — Jasnowidząca,

Mościa Dobrodziejko.» — «Co za szczególne nazwisko!» — «To nie jest nazwisko, Mościa Dobrodziejko. Jasnowidzącami nazywają kobiety które we śnie leczą i przepowiadają.» — «Gdzież to takie kobiety mieszkają, Panie Dobr.» — «One mogą być wszędzie gdzie je magnetyzują.» — «Jakto magnetyzują?» — «Oto oprowadzają palcami całe ich ciało, od głowy do kolan, co wprawuje je w sen cudowny, w którym leczą i przepowiadają.» — «A ktoż to je tak magnetyzuje Panie?» — «Mężczyźni.» — «Zdoprawdy? Niechżeż pan będzie łaskaw i mnie namagnetyzować.» — «Z największą ochotą bym to zrobił, Mościa Dobrodziejko, ale teraz się spieszę, a na to trzeba parę godzin czasu. Jak tylko więc znajdę dzień wolny, przybiegnę do pani na jej rozkazy.» — «Bardzo panu będę wdzięczna, a tymczasem poproszę żeby mi mój mąż magnetyzował.» — «Ma Pani rację; to może być bardzo skuteczne. — Tymczasem pozwoli pani ucałować swe nogi, bo mam pilny interes, dla którego się śpieszę. — Tak tedy wykręciwszy się od magnetyzowania pani Kukielnickiej ruszyłem do państwa Paciukowskich.

Zastałem tam bardzo wesołe zgromadzenie, złożone z rodziców, siedmiu córek i dwóch kawalerów starających się o nie. — Jakem tylko wjechał na dziedziniec, wszystkie panny poumykały co prędzej z ganku, zobaczywszy nieznanego ekwipaż, i poszły się przebiierać. W godzinę dopiero, przystrojone należycie, weszły do pokoju, sznurkiem, jak żurawie. Każda mi się niziutko po dwa razy ukłoniła; każdej też pochyło dwa razy się odkłoniłem. Nakoniec pouisały, i ja usiadłem. Zaledwie kilka minut pogadałiśmy, słyszymy turkot powozu, który zajężdża i przywozi nam pana Kućkiewicza, kuzyna domu, z jego szanowną połowicą.

Pan Kućkiewicz, czerwony jak ówkiła, nosi przed sobą brzuch jakby oddzielną zupełnie część ciała; ręce mu wiszą bezwładnie, jak wagi dawnych ściennych zegarów; a gęba zawsze otworzona, jakby do przełknięcia całej pieczonej wrony.

Takiemiż kształtami Naywyższy i połowicę pana Kućkiewicza obdarzył, s tą różnicą, iż zamiast czerwoności, ma rozlaną na twarzy brudną zieloność; nogami szeroko suwa, i tak je wygodnie rozszerza gdy usiedzie, iż możnaby karętą popod niemi przejechać.

Pani Kućkiewiczowa jest bardzo miłą osobą. Ma tylko jedną wadę w swoim składzie fizycznym, która jest dla niej nader niedogodną; tę mianowicie, iż, skoro do salonu wejdzie, natychmiast humory jej biją do głowy i oczy blachmanem zachodzą; wszystko to pochodzi z wielkiej nieśmiałości, a wielka ta nieśmiałość pochodzi z niewinnego, pasterskiego wychowania; skutkiem zaś fenomenów nieśmiałości, wyżej opisanych, jest, iż nic nie widzi co się koło niej dzieje. Tak też i mnie nie dojrzała, gdy mi moje pokorne ukłony oddawał; co było przyczyną że mój powtórzył do razy dwónastu, i że panua Zofia, wesoła panienska, stanęła za nią, i za nią mi się odkłaniała, gdy tymczasem pani Kućkiewiczowa stała między nami nieruchoma jak posąg, wlepiwszy oczy w jakiś punkt przestrzeni, z rysami nieożywionemi jak na medalionie.

Po różnych ukłonach i po kwadransowej rozmowie poszliśmy do ogrodu, zapuściliśmy się w szpalery, i nakoniec dla odpoczynku siedliśmy na ławkach. — Wtém przychodzi jakaś dama, która, zrobiwszy nam ukłon, opowiada iż jest Szwajcarką, iż zajmuje się wychowywaniem dzieci, że jedzie do państwa C\*\*\* dokąd jest wezwana, i, że zbłąkawszy się w drodze, a widząc dwór, zajęchała do niego prosić o danie jej przytułku na noc i wskazanie drogi. — «A to przedziwny koncept, odzywają się hurmem panny Paciukowskie; ale nie uda się panu: bośmy pana od razu poznały!» — «Czy panie mię biorą za mężczyźnę?» — «A już-ci nie tak łatwo nas oszukać!» — «Ale ja bynajmniej nie myślę oszukiwać państwa.» — «Znamy się na tém, znamy! Coż Pan Dobrodziej długo się błąkał?» — «Ale ja już miałam honor raz państwu powieścić że jestem kobietą nie mężczyźną, i zdaje mi się iż wcale na mężczyźnę nie wyglądam.» — «Coż szanowna dama przykrą miała podróż?» — «Państwo, widzę wyraźnie, chcecie ze mnie żartować. Nie spodziewałam się znaleźć tak niegrzecznego domu, który nie tylko przytułku nie chce dawać, ale jeszcze drwiś podroźnych! Bardzo żałuję że m się tak oszukała na gościnności państwa. Nie pozostaje mi jak pożegnać państwo i udać się do karczmy, do grzeczniejszych może żydków!» — To powiedziawszy z gniewem, i ukłoniwszy się, nowo przybyła podroźna odchodzi od nas. — «Ale, patrzno: w istocie może to być podroźna jaka, mówi panna Kunegunda do panny Petronelli.» — «I mnie się zdaje że onby nie potrafił tak dobrze kobietę udawać, szczególnie w chodzie i ukłonach.» — «A nu! zawróćmy ją. — Pani! pani! niech pani będzie łaskawa wrócić. Bardzo przepraszamy panią, ale wzięłyśmy panią za przebranego młodego człowieka, który jest u nas.» — «A to co innego.» — Tak tedy szwajcarka się wróciła, i już tą razą była inaczej przyjęta.

Cała rzecz na tem, iż pannom Paciukowskim wyobraziło się koniecznie, iż to powinien być pan Solnicki, kochanek jowialny jednej z nich, przebrany za podroźną. W istocie pan Solnicki był podobny do nowo przybyłej szwajcarki, ale, daleki od udawania jej, leżał podtenczas najswobodniej do góry brzuchem w swej stancyi, i fajkę palił.

Po wyjaśnionej tak awanturze, kazano dać szwajcarce herbaty, a posłano po pana Solnickiego, który bardzo ucieszył się z tego quiproquo.

Cała ta awantura śmieszyła mię niepomału; ale potem zacząłem się już nudzić, i co rychlej pomyślałem o wyjeździe. Ucałowałem rękę pani Paciukowskiej; uścisnęliśmy się serdecznie i z dwóch stron mocno pocałowaliśmy się z Panem Paciukowskim; ukłoniłem się pannom po kilkakrotnie, i wzajem od nich kilkanaście ukłonów odebrałem; znowu nadaremniem się ukłonił 10 razy pani Kućkiewiczowej, która powtórnie była zmieszana ruchem jaki się przyczyni mego wyjazdu zrobił, i znowu panna Zofia za nią mi się odkłaniała. Poczém wyjechałem do Marszałkostwa R, niezmiernie miłych ludzi, którzy mi swém przyjemnem towarzystwem nagrodzili sownie za nudy jakie w pięciu wspomnianych domach wycierpieć musiałem. (Dokończ. nast.)